

Anna Gliszczyńska, rozmowa przeprowadzona w sierpniu 2015 roku

Dzień dobry. Moje nazwisko Gliszczyńska Anna. Pracowałam w Stoczni od 1962 roku. Na początku na Wydziale P2. Krótka tam, bo czekałam na zorganizowanie laboratorium toksykologicznego przy BHP. Kiedy już ono nabrało mocy, powstało, brałam udział w organizacji, zakupie sprzętu, zastanowieniu się na czym to będzie polegało te badanie. No myśmy badali stanowiska pracy, szczególnie te niebezpieczne, gdzie pracownicy mieli dodatki do prac niebezpiecznych. Były również bardzo niebezpieczne farby stosowane i przed wejściem spawaczy, po malarzach, należało przeprowadzić badanie czy pomieszczenie, a szczególnie zbiorniki, są wolne od gazów wybuchowych. Na początku były kłopoty ze sprzętem. Był taki prosty drager do robienia tych pomiarów. Później profesor Pompowski¹ z Katedry Chemii opracował nam inny przyrząd, który już pokazywał dokładniej. Działał mniej więcej na zasadzie chromatografu, który dopiero wtedy wchodził w fazę pracy nowych metod badawczych.

Statków było bardzo dużo. Trzeba było przychodzić nawet na 6 rano do pracy, żeby oblecieć wszystkie zbiorniki, a było czasami pięć statków do zbadania, a na każdym po sześć-siedem nawet i więcej zbiorników. Były trudne wyjścia, bo to się szło po omacku tylko z latarką, w specjalnym ubraniu, w specjalnych butach, które nie powodowały iskrzenia. Oczywiście w hełmie, bo takie były wymogi i zawsze nam towarzyszył budowniczy, który dokładnie nam opisywał, w jakim jesteś zbiorniku, no bo trudno było się nauczyć wszystkich rodzajów statków i wszystkich zbiorników, tym bardziej, że człowiek na tej budowie i konstrukcji się nie znał i trzeba było wiedzieć czy to jest zbiornik wysoki czy to jest denny, czy prawa burta, lewa burta, jaki numer i potem wpisy do ksiąg prac niebezpiecznych. Takie księgi powstały po wypadku Konopnickiej², dopiero te księgi weszły w użycie. I tam trzeba było dokonać wpisu, że zezwala się na wejście pracowników i włączenie oświetlenia.

No i to były pierwsze nasze takie najważniejsze zadania. A potem badałyśmy poszczególne stanowiska pracy. To się badało zapylenie. Były już normy opracowane przez sanepid i polskie normy, które mówiły, jakie mogą być zapylenie w danym pomieszczeniu, temperatura, wilgotność oświetlenie, hałas, wibracje. No to były stanowiska na hali i stanowiska na statku. Z tym, że na statku to trochę trudniej się to wszystko robiło, ale niemniej starałyśmy się opracować plan takich niebezpieczniejszych stanowisk pracy. Współdziałaliśmy z sanepidem, z Instytutem Medycyny Morskiej. Tam prowadzone były również prace przez naukowców, gdzie stwierdzali pylicę, jaki procent pracowników, w jakich miejscach jest najbardziej narażonych na pylicę. Do tego celu były myszki stosowane, klatki umieszczane w tych pomieszczeniach. Myśmy robili pomiary, a oni potem

¹ Prof. Tadeusz Pompowski z Politechniki Gdańskiej

² Mowa o pożarze na statku MS Konopnicka, który miał miejsce 13 grudnia 1961 roku.

tym myszkom badali płuca, jak to wygląda. Doktor, a już obecnie profesor Felczak³ się tym zajmował. Również pani prof. Gałuszko⁴ robiła u nas pomiary na odlewniach. Ona jest z pracowni psychologicznej i jak wysokie temperatury, wilgotność wpływa na pracownika. To jest, pomiar był przed i po zakończonej pracy. Refleks i inne badania, parametry również, a my w tym czasie robiliśmy parametry takie fizyczne.

A skąd było wiadomo, kto określał, które są te stanowiska niebezpieczne? Czy była jakaś lista tych stanowisk?

Tak, lekarz chorób zawodowych typowała takie stanowiska i również był wytypowany, bo tak jak wspomniałam, były dodatki za pracę, więc to robiły chyba związki nie wiem. Taka lista była, że ci pracownicy pracujący na danych stanowiskach mają dodatki. No i myśmy to sprawdzali. Potem była taka seria prac i to później już była ścisła kontrola, bo wszystkie spawy na statkach musiały być prześwietlane rentgenem no i pracownicy byli napromieniowani. Więc myśmy prowadzili taką statystykę, zbierało się te wszystkie, to były takie do ubrań przyczepione błony, które potem do Warszawy wieźliśmy do czytania do Instytutu i stwierdzono. No ale jak zawsze pracownicy byli też, uważali, że chcą mieć większe dodatki i czasami swoje ubranie wieszali przy tym aparacie, żeby się bardziej naświetliło. I potem mieliśmy telefony z Warszawy czy jeszcze ten delikwent żyje, bo taką dużą dawkę otrzymywał. No ale zawsze takie numery są robione.

A pani wspomniała, że pani również miała jakąś odzież ochronną do tego celu. Rozumiem, że to dla pani też były niebezpieczne wchodzenie w takie miejsca.

Tak, miałyśmy specjalne ubrania ochronne. No jak się było na statku, no to całe i buty specjalne, oświetlenie, rękawice. No wszystko tak, jak normalni pracownicy. Natomiast jak się szło na halę, to też trzeba było być wyposażonym w kombinezon, w hełm, bo wszędzie suwnice i inne rzeczy. Natomiast w laboratorium to miałyśmy swoje fartuchy ochronne, które były wymieniane, bo w stoczni istniała pralnia też i się oddawało te ubrania, były oznakowane i one powracały. No w stoczni było dużo dodatków. Każdy dostawał rękawniki, dostawał mydło. Myśmy jeszcze dostawały takie specjalną pastę do mycia rąk jak pracownicy. Dostawałyśmy również pół litra mleka jako odtrutkę codziennie. No były duże ułatwienia, przede wszystkim jeżeli chodzi o służbę zdrowia to przecież było 12 rejonów lekarskich i lekarze interniści, lekarze stomatolodzy. Był szpital, z którego ja również korzystałam, chodziłam na zabiegi, badania krwi się wykonywało. Ponieważ troszeczkę chorowałam na wątrobę, więc korzystałam z fizykoterapii na miejscu, no było dużo takich rzeczy, które pomagały, nie trzeba już było do miasta iść, tylko się zapisywało na daną godzinę i ta godzina była przestrzegana i byliśmy zwolnieni. Koleżanki, które miały małe dzieci, zanosily do żłobka na terenie stoczni, do przedszkola. Mogły wyjść, nakarmić te dzieci, tą godzinę przerwy na dziecko się miało. Była duża biblioteka, z której korzystało się, dla dzieci wypożyczano się książki do szkoły. Była

³ Prawdopodobnie mowa o prof. Janie Rafale Felczaku

⁴ Prawdopodobnie mowa o prof. Krystynie de Walden-Gałuszko

księgarnia, w której można było książki zamówić. Więc to było dużo ułatwień, nie mówię o różnych socjalnych rzeczach jak: ziemniaki, cebula, deputat węglowy był w stoczni. No i bardzo dobrze zaopatrzone kioski.

Później jak przeniosłam się do innego laboratorium, bo już trudno mi było tak rano biegać po statkach, po suwnicach, bo na suwnicach badałyśmy oświetlenie, no więc przeniosłam się do centralnego laboratorium, gdzie to było, należało ono do kontroli. I były trzy działy: kontrolujący farbę, oleje na statki i metale z odlewni, ale byłyśmy tak przeszkolone, że którakolwiek szła na urlop, to druga ją zastępowała, że to nie było tylko taki wąski zakres. Każda mogła stanąć na danym stanowisku. Natomiast [w tym] laboratorium [było] dużo nadgodzin, bo jak były próby w morzu, czy statek już miał już wyjść w to morze, więc robiło się wszystko, żeby jak najszybciej. Nieprzerwana była praca, wirowanie agregatów, gdzie trzeba było sprawdzać cały czas ten w wirówkach olej, czy nie ma wody. Na początku jeszcze były wyjazdy w próby. Z laboratorium się wyjeżdżało w próby morskie, robiło się tego rodzaju badania. Badałyśmy smar do wodowania i za każdym jak było wodowanie wzdłużne, czyli jak z płóz miał zjechać statek, denerwowałyśmy się czy ten smar dobrze zbadałyśmy, czy ten statek zjedzie czy nie zjedzie. Jak już ogłosili, że spłynął na wodę, każdy oddychał. Inaczej zupełnie.

Byłyśmy bardzo zgrane, to można powiedzieć, że tam pracowały kobiety, chyba nas 8 było, to stworzyłyśmy jedną rodzinę. Były różne czasy: i dzieci szły do Komunii i trudno było o kolanówki czy coś. Jak któraś zobaczyła, kupiła, bo się Tobie przyda. Po prostu żyłyśmy, nie tylko tak, jak w tej chwili, że każdy żyje swoim życiem i o drugiej osobie nic nie wie. Myśmy o sobie wszystko wiedziały, pomagały, wspierały w różnych chorobach. Także była inna atmosfera.

Czyli w obydwu tych laboratoriach, w których pani pracowała, to były głównie kobiety pracownice?

W laboratorium tak, ale w BHP byli również pracownicy, inspektorzy BHP i ich było dużo, panów, a myśmy miały wydzielone pomieszczenie, gdzie laboratorium, ale np. na halach produkcyjnych to z nami zawsze szedł inspektor, który nas zapoznawał ze stanowiskiem, z majstrami, którzy nam mówili, jaka praca tego dnia jest. Czy to jest natężenie hałasu większe czy mniejsze. Także moim zdaniem była ścisła współpraca.

A jak to się stało, że wybrała Pani taką pracę, jak Pani trafiła do stoczni akurat do laboratorium?

Chyba to zadziałał przypadek, bo ja skończyłam studium analiz chemicznych i zaczęłam pracować na Politechnice. Na Politechnice pracowałam z panią profesor Szczepułą⁵ przy uruchomieniu produkcji łodów Calypso. Zupełnie coś nowego. Ta produkcja była w rzeźni gdańskiej, której już w tej chwili nie ma i tam nadzorowałyśmy, próbki pobierałyśmy, badania szły w kierunku gronkowców.

⁵ Prof. Wanda Szczepuła

Raz też przeżyłam taką niemiłą sytuację, bo pani profesor wyjechała do Anglii, a mnie zostawiła z tym samym i się pokazał gronkowiec i trzeba było całą partię wstrzymać i zniszczyć. No to było dla mnie duże wyzwanie, no ale jakoś wszystko to udało się. No i spotkałam kiedyś swoją koleżankę w Gdańsku i ona mówi, że pracuje w Stoczni i jest zadowolona. Zarobki były zdecydowanie wyższe niżeli na Politechnice. A ponieważ tworzyła laboratorium pani magister Cybulska⁶, którą znałam z Politechniki, bo ona była na lekach, a ja byłam na tłuszczach. Także chętnie skorzystałam z tej propozycji i przeniosłam się tam. No pani Cybulska do końca nie pracowała, wróciła na uczelnię, na Politechnikę na Wydział Leków, a tam ktoś inny przejął. Także współpraca była z panami, w laboratorium też był oddział wytrzymałości metali i tam pracowali panowie. No ale współpraca układała się między nami bardzo dobrze.

A czy to wymagało jakiegoś dodatkowego szkolenia, jak Pani przeniosła się do stoczni, bo wiem, że w stoczni były też różne kursy doszkalające dla pracowników organizowane. Czy przechodziła Pani jakieś takie dodatkowe szkolenia?

Ja, tak, ponieważ w stoczni były organizowane szkolenia BHPowskie i jak weszła ta nasza dziedzina toksykologii, to powiększyli te szkolenia o ten dział, więc musiałam skończyć kursy pedagogiki, żeby móc wykładać dla pracowników, którzy [mieli szkolenia] na [wyższą] grupę. Te szkolenia były okresowe, musieli zdawać z przepisów BHP. I między innymi nie tylko koledzy inspektorzy szkolili, ale również my z dziedziny toksykologii. No i kursy różnego rodzaju, tak jak powiedziałam pani na początku. Wchodziła nowa aparatura, którą trzeba było poznać, więc chodziliśmy na kursy na Politechnice, były takie kursy organizowane. To i z rafinerii brali udział i ze Stoczni Północnej, Komuny Paryskiej. Także myśmy wszyscy razem uzupełniali swoją wiedzę czy nowe metody, jak wchodziły, ale w tym laboratorium toksykologicznym to współpracowaliśmy z sanepidem, z miejską stacją sanepidu. A z kolei w tamtym laboratorium chemicznym, gdzie badało się te tu oleje i metale to korzystało się z polskich norm, to były polskie normy opracowane. A w dziale, gdzie były farby to znowu się robiło kontrole. Przyjmowane były farby z różnych miejsc, z Puław, z Włocławka, z fabryki oliwskiej i się badało każdą partię, czy ona jest zgodna z normami. Jak nie, to trzeba było cały transport odesłać. Później weszły farby szwedzkie, duńskie i było tak, że te farby nie zawsze spełniały też nasze wymogi, więc przedstawiciele tych firm przylatywali do stoczni i razem wtedy ramię w ramię pobieraliśmy próby i robiliśmy, no żeby potem nie było w sądzie z arbitrażem kłopotów. No i najczęściej myśmy mieli rację, chociaż się dziwili na jakim sprzęcie my to robimy, bo tam już była duża mechanizacja, to wszystko robiło, czy wytrząsarki czy badanie PH, to już robił aparat, a my ręcznie, ale oko ludzkie też nie myli się tak często.

Czyli Państwa badania ta ręczne były bardziej dokładne niż te na tym mechanicznym zaawansowanym sprzęcie.

⁶ Prawdopodobnie chodzi o prof. Barbarę Cybulska

Tak wychodziło często. Potem wycofano już dużo tych farb wybuchowych, weszły inne rodzaje. No a teraz to zupełnie już inna sprawa, co tam się robi w tej stoczni.

Ale bardzo ciekawa praca, bardzo różnorodna. Myślę, że nie mogło się Pani nudzić.

Nie, absolutnie nie nudziłam się, bo rzeczywiście i poznawałam całą stocznę, wszystkie stanowiska i były takie sytuacje, że w niedzielę szłam po ulicy, ktoś się kłania. Odkłaniam się, ale nie wiem kto, bo jednak zupełnie inaczej się wygląda w ubraniu roboczym, w hełmie, jak potem panowie w garniturach.

No tak.

Także byłam bardziej rozpoznawalna, nawet teraz na ulicy często się spotyka i panowie: i jak tam się żyło? A pamięta pani jak tam było na wydziale? Wspomnienia, ludzie wspominają z taką łezką w oku.

No tak. Tak. Tak właśnie słyhać z Pani opowieści, że to był taki bardzo fajny, bardzo dobry czas też pod względem tych stosunków międzyludzkich. I w zespole były bardzo dobre relacje. A jeśli chodzi o przełożonych, relacje z przełożonymi?

No były świetne relacje, chociaż no myśmy nie miały tak dużo do czynienia. Robiliśmy badania, pisałyśmy świadectwa i te świadectwa dawałyśmy do podpisu kierownikowi. No i kierownik, nie było tak, żeby coś nie podobało mu się. Czasami były takie uwagi, co należy poprawić na danym miejscu, żeby zniwelować te zagrożenia, ale była bardzo sympatyczna atmosfera, zawsze taka rodzinna atmosfera była. Do tej pory, niestety, sporo już koleżanek nie żyje, ale do tej pory utrzymujemy kontakt, jeszcze z koleżankami, które były w Lidze Kobiet. Liga Kobiet też bardzo tam czynna była na terenie stoczni. Pamiętam, że takie akcje były na początku sezonu, panie z Ligi Kobiet jechały, porządkowały domki, które należały do Stoczni – Drzewicz. To był taki miejski ośrodek stoczniowy, gdzie stoczniowcy odpoczywali, wynajmowali naprawdę za przysłowiową prawie złotówkę domek, gdzie cała rodzina spędzała czas nad jeziorem. Za Brusami, Drzewicz. Pięknie położony w lesie. To były spore domki i dużo było tych domków i całe rodziny i pieski i tam są piękne tereny na grzyby, ryby. No każdy miał coś dla siebie. Panie z Ligi Kobiet zawsze jeździły po każdym turnusie, sprzątały, robiły generalne porządki. W takim czynie. To tak się wtedy jeszcze nie nazywało.

A czym się jeszcze zajmowała Liga Kobiet i czy Pani też do niej należała?

No ja tak wspierałam ją dorywczo. Liga Kobiet pomagała kobietom w trudnych sytuacjach, takim, które miały jakieś problemy, pisały za nie pisma, wspierały je w jakiś tam do kierownictwa, żeby dostały jakieś pieniążki czy zasiłki. Bo w Stoczni na przykład myśmy miały po... Każdy z pracowników, kto się zapisał do kasy samopomogowej, miał potrącanie z pensji. I tam tą pożyczkę brało się bez procentów. Tyle ile się brało, tyle się spłacało. I dużo osób korzystało z tego, bo było mnóstwo rzeczy na raty. Więc opłacało się wziąć pożyczkę ze Stoczni, bo to było nieoprocentowane,

jak brać na raty przedmioty. No dużo było w Stoczni udogodnień. Także pracowało się lepiej zdecydowanie.

A czy, mówi Pani, że utrzymuje Pani jeszcze dotąd kontakty z koleżankami z zespołu. A czy w trakcie pracy w Stoczni panie spędzały jakoś czas po pracy, właśnie wyjazdy wakacyjne, imieniny, urodziny?

Imieniny, urodziny – tak, to się spotykałyśmy. Ale no każda w tym czasie miała małe dzieci, każdy był zaganiany tym swoim normalnym życiem. Także teraz, jak już na emeryturze, no to można się gdzieś w jakiejś galerii na kawie spotkać i porozmawiać. No najczęściej to dotyczy chorób. Zgodnie z wiekiem. No i wykrusza się społeczeństwo. Z naszego środowiska, z naszej tej, jak to mówią, z naszej półki biorą...

...niestety.

W każdym bądź razie radiowęzeł był w Gdańsku, w Stoczni i przesyłano sobie życzenia w tym radiowęźle z okazji jakichś tam urodzin, imienin no i różne komunikaty tam były, już nie mówię o komunikatach w okresie strajków, bo to też oddzielna historia. Przeżyło się ten 1970. rok szczególnie tak jakoś bardziej, bo to pierwszy raz człowiek z czymś takim się spotkał. Pracowałam właśnie w tym BHP, to jest budynek przy Dyrekcji, to wszystko się działo na tych schodach przy Dyrekcji. Także to było takie no niezbyt. Ale wryło się w pamięć, te wszystkie wydarzenia, prawda? Później ten sierpień, te strajki. No na przykład byłyśmy zaskoczone po wejściu, po ogłoszeniu tego stanu wojennego, jak w naszym laboratorium wszystko było powybijane, poniszczone, przecież tak nie musiało być. Klucze od każdego pomieszczenia wisiały w sekretariacie, a wszędzie były wybite kolbą ... szkło w drzwiach, żeby zamki pootwierać.

Pani mówi o 80. roku?

Tak

A pani wtedy była w pracy?

W centralnym laboratorium pracowałam w tym okresie. No i też siedziałyśmy, czekałyśmy, potem ogłosili, że już można wyjść, no więc oczywiście kobiety do domu, bo dzieci, mężczyźni. No jak doszłam z tej, z naszego budynku do bramy pierwszej, drugiej przepraszam przy tych krzyżach obecnych, no to pani Walentynowicz nas zawróciła: „kobiety nie idźcie, zostańcie, bo wtedy będzie gorzej dla mężczyzn”. No i strajk się nie skończył, a ona mówi: „myśmy tylko osiągnęli, a do nas się przyłączają”. Pani ta Krzywonos i inni wtedy przyjechali i się zaczął ten ogólny strajk. No ale. Nic wtedy nie szło, żaden tramwaj ze stoczni. Aż tu trzeba było pieszo.

I pani pieszo chodziło do stoczni?

Pieszko chodziłam [śmiech].

A jak wyglądało takie życie codzienne w czasie strajku, no bo coś trzeba było jeść, jakoś trzeba się było przebierać, tam część osób chyba wracało do domów z tego, co słyszałam, a część było na stałe.

Na stałe, stołówki działały, było pełno kiosków różnych, miasto wspierało. Była u nas robiona woda gazowana w stoczni, było dystrybutory, tych rzeczy nie brakowało. No i posiłki, tak jak mówię, były zawsze wydawane, bo to była duża stołówka przed, zaraz za bramą i tam przychodzili pracownicy i tam w ogóle urzędowali ci z Solidarności. No ale kobiety najczęściej jednak były z tego wszystkiego zwalniane i siedziałyśmy w domu i czekałyśmy na wiadomość, kiedy można iść, wrócić do pracy. Tak to były niezbyt miłe chwile.

[przerwa w nagraniu] [2.część nagrania]

Pani wy pływała również w rejsy próbne. Na czym to polegało?

Każdy statek po wyposażeniu musiał przejść próby. Były pierw próby na uwięzi, jak on stał, a potem w morzu. Wypróbowywało się moc silnika, pracę, różne parametry. Każdy był za coś innego odpowiedzialny. Również lekarz brał udział w razie jakiejś kontuzji. Nasza praca polegała na tym, żeby sprawdzić pracę wirnika i silnika. To znaczy dostawaliśmy próbki oleju, trzeba było zbadać czy wirówka dobrze pracuje, czy odwirowuje, żeby stwierdzić zawartość wody oraz oznaczyć ciężar właściwy i lepkość oleju. I to trzeba było na bieżąco, bo były różne parametry pracy silników. I na każdych parametrach trzeba było te pomiary robić. No więc nie za bardzo nam się uśmiechało wypływać, bo to 2-3 kobiety były, a reszta załoga męska i to były 3-4 dni, różnie, w zależności od jednostki, jak te próby przebiegały. No więc nie każdy chciał wyjeżdżać na taki rejs, chociaż to było finansowo korzystne. Bo się dostawało za nadgodziny i inna była stawka. Ale zarobki w stoczni i tak były wyższe jak w innych miejscach pracy. Różnego rodzaju nagrody były za terminowe wodowanie statków, to był też podział i każdy dostał z pracowników, którzy pracowali sumiennie, nie bumelowali. Potem było za eksploatację dodatki, trzynastka, czyli można było troszeczkę takich pieniędzy na inne cele uzbierać. I nie odczuwałyśmy nigdzie, żeby była dyskryminacja, że my jesteśmy kobietami, a tam są mężczyźni. W laboratorium tego nie było, wszyscy dostawaliśmy równo.

Chciałam panią zapytać jak wyglądał pani jeden dzień pracy, ale przypuszczam, że będzie ciężko znaleźć jeden standardowy dzień, bo chyba każdy się różnił.

Każdy był zupełnie inny. Naprawdę trudno powiedzieć, bo czasami w tym laboratorium pierwszym, gdzie pracowałam sporo lat, no to dzień naprawdę zaczynał się bardzo różnie. Najczęściej było sprawdzanie zbiorników na statkach. Bo tak jak zaznaczałam, wtedy były zupełnie inne farby stosowane, te wybuchowe, więc jak najszybciej trzeba było zrobić te pomiary, żeby pracownicy mogli wejść na statki i pracować, bo do naszych pomiarów nie można było włączyć oświetlenia chociażby. A potem to już były planowane pomiary, na falach, albo coś nagłego wyskoczyło. I później długa

analiza w laboratorium. Bo jak się pobrało próby przy spawaczach czy jakiś w jakiś innych pomieszczeniach, odlewniach, to z tych pyłów badało się różne składniki chemiczne, co trwało już parę dni, bo proces chemiczny tego czasami wymagał. Albo później trzeba było opracowywać wyniki i dawać zalecenia czy zwiększyć wentylację, czy obniżyć hałas, tłumiąc jakimiś materiałami dźwiękochłonnymi. Zwracaliśmy również uwagę na jakieś prace ślusarskie, bo tam były stosowane emulsje przy wierceniu, szlifowaniu, i one też czasami ujemnie wpływały. Naprawdę, każdy dzień było inne stanowisko, inna praca. Nie można było się nudzić. (śmiech)

Jak panie się przemieszczały po stoczni? Bo jak pani mówi, to jest chyba dość duża przestrzeń z laboratorium, żeby te próbki pobierać. Czy tam był transport, czy na piechotę się chodziło?

Jeżeli chodzi o laboratorium toksykologiczne, to myśmy zamawiały wózek zawsze, bo to była ciężka i duża aparatura. Bo

00:05:00

jednak musieliśmy zassać powietrze, te przyrządy, manometry, inne, kable, węże. Oprzyrządowania było bardzo dużo. Dlatego zamawiałyśmy transport. A jeżeli chodzi o to drugie laboratorium, to oprócz farb, to wszystkie próby miałyśmy dostarczane przez wydziały. Czy to z odlewni, czy z kuźni, czy ze statków, z silników, z eSów – to wszystko nam mistrzowie przynosili opisane z jakiego miejsca, kiedy to pobrał, z jakiego statku, do czego to ma służyć. A potem albo telefonicznie jak było super pilne, albo później na piśmie trzeba było pisać. I na maszynie same musiałyśmy pisać, stukać wyniki. (śmiech) Żeby były podane. Natomiast jeżeli chodzi o farby, no to trzeba było pójść do magazynu farb, który się mieścił za Holmem, za mostem, i tam z tych baniaków, był pracownik magazynu, który nam pomagał. Bo trzeba było ręcznie w tych hobokach pomieszać tą farbę dokładnie, żeby do małych puszek pobrać i robić pomiary. Były różne, bo to i czas schnięcia, jak ta farba i konsystencja i lepkość, roztarcie pigmentu, no szereg parametrów trzeba było sprawdzić. Ale jak mówię, wszystkie wszystko robiłyśmy. Tak, że jak kogoś zabrakło na danym stanowisku, czy urlop, czy choroba, a nawał był prac, każda mogła wykonać tę pracę.

Czy pory roku miały jakiś wpływ? Jak był duży mróz, na przykład albo jak był duży upał, czy to wpływało na pani pracę?

Niespecjalnie. Jeżeli tylko te smary na statku, bo to trzeba było do temperatur zawsze dostosować, ale to już robiły wydziały kadłubowe. Myśmy tylko sprawdzali czy to, co oni zaplanowali, te krzepnięcie czy ta zawartość parafiny czy innych składników jest taka, jak oni podawali w recepturze, czy to jest zgodne. No ale tak to, niestety, najgorętszy okres to był grudzień. Czasami było dni mniej jak statków do zdania. (śmiech) I wtedy były te gorące dni. Do ostatniego, do Nowego Roku trzeba było wszystko zrobić, zbadać, i wtedy było najwięcej nadgodzin. Co kobietom, matkom nie zawsze

się podobało. Wprawdzie my mogłyśmy na terenie stoczni coś zjeść, kupić, bo był garmaż, że jeżeli to było planowane, to do domu zabrać i coś przygotować. Wszystko można było na terenie stoczni kupić. I wtedy, kiedy były złe czasy, i kawy było mało, to w stoczni była kawa. Nie było tyle, ile się chciało, ale paczkę każdy dostawał. Wszystko można było... Tak, że nie byłyśmy głodne, jak siedziałyśmy w nadgodzinach.

Czy przedszkole i żłobek też pracowały w nadgodzinach jeśli któraś z pań miała dzieci w przedszkolu, to jak to wyglądało?

Wie pani, że tego dokładnie nie wiem, bo ja nie korzystałam z tego. Ale wiem, że kobiety, które na ogół miały dzieci w żłobkach, nie zostawały w nadgodzinach, nie zmuszano ich do pracy w nadgodzinach. Wiem, że moja koleżanka w laboratorium miała dziecko, to ona nawet dostała wjazd na teren stoczni, że samochodem wjeżdżała i odprowadzała to dziecko. Ale z uwagi na to, że jedno do żłobka a z drugim była w ciąży, więc to dyrekcja poszła o tyle na rękę, że ona mogła swoim samochodem wjechać na miejsce pracy. Ale to była naprawdę duża wygoda dla matek. Nie musiały na drugi koniec miasta odwozić, a potem do pracy biec, tylko już wszystko było na miejscu i w każdej chwili zobaczyć co z dzieckiem się dzieje, jak zostały powiadomione, że dziecko jest chore czy coś, to reakcja była natychmiastowa. I tak jak wspominałam, ta służba zdrowia, wszystkie badania i rentgen – nie było takiej szerokiej gamy badań jak w tej chwili, ale

00:10:00

podstawowe rzeczy wszystko robiło się na terenie stoczni, nie trzeba było po przychodniach chodzić.

Czy miały panie osobne szatnie prysznice? Jak trzeba było się w te stroje specjalne przebierać, to pewnie trzeba było się później gdzieś umyć. Czy to było wydzielone dla kobiet, dla mężczyzn, jak to wyglądało?

Jeżeli chodzi o laboratorium, to myśmy miały swoją enklawę. Były stanowiska pracy, w których się robiło. Było miejsce wydzielone na posiłki i była też szatnia, ale tam myśmy się tylko w fartuchy przebierały. No i takie ubranie, które... No niestety, w chemii to są zapachy i przechodzi te ubranie, więc w związku z tym miałyśmy i obuwie, takie drewniaki służbowe, i to wszystko było. A w poprzednim laboratorium też miałyśmy swoje pomieszczenie, swój pokój. Byłyśmy 3 kobiety, więc nie było problemu, żeby się tam przebrać. Ale jeżeli chodzi o... Umywalki tylko były, nie było prysznica. A już na wydział produkcyjny to nie. Ale myśmy znowuż tyle godzin nie siedziały w takim brudzie, żeby wymagało to kąpieli całej. Ale były miejsca wydzielone, tak że swobodnie mogłyśmy się przebrać.

W jakich godzinach pani pracowała? Bo wspomniała pani, że w pierwszym laboratorium pani zaczynała o 6.00 i jeśli nie było nadgodzin, to ile dzień czasu...

Do 14.00 pracowałam. Bo tak w ogóle od 7.15 do 15.15. Myśmy nie musiały w roboczych strojach odbijać tej karty zegarowej. A jeżeli były jakieś sprawy na mieście do załatwienia, to brało się przepustkę i w zależności od kierownika to się się odpracowywało tę godzinę czy dwie w innym dniu.

Czy korzystała pani ze stoczniowej stołówki, czy panie miały swoje miejsce wydzielone do jedzenia śniadań?

Myśmy w tej stołówce zakupy robiły. Bułki, kielbasę, jajko, coś takiego. Mleko stamtąd pobierałyśmy. Miałyśmy swoje pomieszczenie, gdzie robiłyśmy ten posiłek sobie, a tak to najczęściej to korzystałaś z kiosku. Bo w tych kioskach to kielbasa, ser, jajka, herbata, kawa, cukier, wszystko było w tych kioskach. Nawet garmaż, usmażona wątróbka, którą można było sobie w laboratorium podgrzać i zjeść jak się było w nadgodzinach. Tak, że dużo było plusów.

Może jakieś anegdotki, najśmieszniejszy moment, albo najszcześniejszy moment, który pani pamięta.

Najśmieszniejszy moment to był może dla otoczenia, kiedy do tych zbiorników wchodziliśmy, moja koleżanka bardzo się bała wchodzić do zbiornika wysokiego, a ponieważ tam dużo było pracowników młodych i z tej szkoły zasadniczej uczniów i zawsze sobie śmiechy robili, że ktoś się może bać. No więc jak wchodziła do tego wysokiego zbiornika, wzięli wąż gumowy i tak tym węzem, jak ona stała na drabinkach, po nogach i zaczęli udawać psa szczekającego. Ta wpadła w okropną panikę, zaczęła płakać, uciekać, ale nie pomyślała logicznie, jak na drabinie pies może być (śmiech). Tak wykorzystywali. I później był taki duży stres, że nie mogła z tego wyjść i musiała tak zwanym koszem wyjechać ze statku. To taki spuszczały kosz, zamknięty, tam się na ogół materiały spuszczało na statek. A ją trzeba było podjąć, bo się bała wyjść.

A normalnie jak się wychodziło?

Po trapie, po trapie się normalnie szło. Niektórzy mają lęki wysokości. A jeżeli to były wtedy te tankowce, wysokie zbiorniki na parę pięter i wąskie, no więc to nie było miłe. (śmiech)

Co pani najbardziej lubiła w swojej pracy?

00:15:00

To, że była urozmaicona. Że nie było takiej monotonii. Bo nie widziałabym siebie za biurkiem i przeglądać rubryczki i ciągle je podliczać. A to po prostu kontakt z ludźmi i ciągle coś nowego. Niby to samo się robiło, tą samą analizę chemiczną, a wyniki zawsze były inne i trzeba było inaczej to opisywać, interpretować.

Czyli nie można się było nudzić?

Absolutnie (śmiech)

Zawsze się człowiek uczył czegoś nowego.

Tak, trzeba było, bo metody też się trochę zmieniały, dostawaliśmy coraz nowocześniejsze przyrządy. Były trochę zmiany, i przede wszystkim nie było osoby, która robiła zamówienie, trzeba było samemu zastanowić się, co potrzebne jest, jakie szkło laboratoryjne by się przydało, jakie odczynniki. Zamówienia też robiliśmy same. Z wydziałem zakupów, zaopatrzeniem, trzeba było walczyć o dotacje, o pieniądze. Bo oni mieli pieniądze na wyposażenie statków, a na takie wydziały to trochę gorzej było. Ale można było zaszantażować, bo statki były również wyposażone w laboratorium i były szkła laboratoryjne i czasami coś brakowało i od nas pożyczali, żeby [...] ten statek mógł wyjść w terminie, a nie mogli sprowadzić na przykład czegoś. To potem trzeba było się odwdzińczyć, więc wykorzystywaliśmy ten moment, żeby nam te zakupy zrobiono. Statek taki większy, jak baza, to jest jak miasto. I sale operacyjne są, i własna elektrownia. Chyba więcej się nic specjalnego nie przypomni.

A było jakieś osiągnięcie, z którego była pani szczególnie dumna?

Bo ja wiem? Może jakieś drogi awansu, które człowiek zawsze tam gdzieś trochę wyżej szedł. Szkolenia różnego rodzaju – to zawsze poszerzało wiadomości. Na terenie stoczni był również ogrodnik i zawsze jak przechodziłyśmy, bo nasze biuro, laboratorium, przylegało, to zawsze nam jakieś kwiatki podarował, „żeby było wam trochę weselej”, nie same butelki tylko stały. (śmiech) To był ogrodnik... dawał te kwiaty na wszystkie biura, do dyrekcji, żeby na tych stołach, czy kwiaty doniczkowe. Spory był. Szklarnia była duża. Takie [...] małe królestwo było.

Jestem pełna podziwu dla tego, co pani opowiada, bo to jest strasznie odpowiedzialna praca. Trzeba było bardzo dużo umieć i bardzo dużo od pań zależało.

No niestety...

Bezpieczeństwo ludzi.

Trzeba było być pewnym swoich przyrządów, bo co pewien czas myśmy sprawdzały te przyrządy. Robiły specjalną mieszankę, wiadomo ile, i czy wykazuje tyle, ile ma, sprawdza się stan techniczny przyrządów, na których człowiek polega. Jeżeli trochę większe zapylenie, to nic się nie dzieje, a jeżeli naświetlenie czy napromieniowanie czy gazy wybuchowe, to jednak jest odpowiedzialne. Ale udało się bez wpadek. (śmiech) Nie było kłopotów tego rodzaju.

Zapylenie, bo jeśli chodzi o azbest, to wtedy chyba jeszcze nie było wiadomo, że azbest jest szkodliwy? Bo gdzieś był używany do izolacji, z tego, co pamiętam.

Sznurek azbestowy. Natomiast była taka firma, Marlinka się nazywała, tam pracowały przeważnie kobiety, to była firma sprzątająca. Sprzątały na statkach. I zauważono, że po takich pracach na statku, w pomieszczeniach zamkniętych te panie są dziwnie pobudzone. Potem okazało się, że one

nadmiernie używały rozpuszczalnik tri, który działał jak narkotyk. One wychodziły jak pijane. Później trzeba było sprawdzać, odpowiednią wentylację tam zastosować, żeby nie było nieprzyjemnych zdarzeń. Dużo studentów pracowało również przy sprzątaniu. Z wszystkich wydziałów i dziewczynki, studentki i studenci zgłaszali się i pracowali na statkach przy sprzątaniu. Tak sobie ta spółdzielnia studencka pomagała.

Do kiedy pani pracowała w stoczni?

Zaczęłam w 1962, a skończyłam jak się zaczęła rozwiązywać stocznia, bo ja już wtedy osiągnęłam wiek emerytalny, 55 lat i 30 lat pracy. Nie mogłam skorzystać z tego wcześniejszego. A poza tym tutaj sytuacja rodzinna mnie też trochę zmusiła do wcześniejszego pójścia.

Jakie znaczenie miała dla pani praca w stoczni i w ogóle stocznia? Czy to można jednym zdaniem podsumować, co znaczyła dla pracowników stocznia?

Rodzina. Jedna wielka duża rodzina. Tam czuliśmy się ze sobą bardzo związani. I z przyjemnością się szło do pracy. Nie z niechęcią, z jakimś tam stresem. Nie, naprawdę, szło się z przyjemnością. Może dlatego, że tam gdzie pracowałam była naprawdę rodzinna atmosfera, co naprawdę jeżeli do tej pory z żyjącymi mamy cały czas kontakt, to musiało być dobrze.

No na pewno. Dziękuję za rozmowę.